



Notatnik

Biuletyn Informacyjny
Stowarzyszenia Techników Polskich w RPA

TECHNIKA

Mówiłam: zawsze trzeba dawać z siebie wszystko, czy to koncert laureatów, czy koncert dla dzieci. Nie można Chopina grać na pół gwizdka. Nie można tego Chopinowi zrobić.

Bo patrzy?

No, pewnie. A zwłaszcza na Rafała Blechacza. Bardzo zabawne, ale przez pierwsze miesiące niczym specjalnym mnie nie olśnił. Grał jak dobry uczeń szkoły średniej. I nagle! Mieliśmy bardzo długą lekcję z Nokturnem H-dur Chopina, który grał teraz na Konkursie. Dostałam jakiegoś kręćka na tej lekcji, przerywałam mu co drugi, trzeci dźwięk, no nie popuszczę – myślałam. I mówiłam, mówiłam, mówiłam.

Co Pani mówiła?

Co jest w nutach i między nutami. Och, musiałybyśmy się i pograć. Nagle zorientowałam się, że minęły dwie godziny, a my dopiero jesteśmy w połowie. Przeraziłam się: ojciec na ciebie czeka, chce cię zabrać i ty też zapewne jesteś zmęczony. Popatrzył na mnie zdziwiony: nie, nie jestem zmęczony. On kocha grać. Więc pracowaliśmy dalej. Po tygodniu zapytałam, czy chce mi ten nokturn zagrać. Nie, jeszcze nie. A za dwa tygodnie zagrał tak, że aż siadłam, prawie się popłakałam. On przez te dwa tygodnie wszystkie moje uwagi przetrawił w sobie, ułożył, wzbogacił o swoje przemyślenia i dało to plon niewiarygodny. To było po prostu – boskie!

A serce nie zabolęło, że: o! zagrał lepiej ode mnie?

To ogromna odpowiedzialność uczyć tak utalentowanego chłopca. Pozwolić mu rozwijać się we własnym tempie. Podsuwać coś, sugerować, ale nie narzucać, nie podporządkowywać własnej wrażliwości, własnym emocjom. Dopasowywać repertuar do jego emocjonalnego i intelektualnego rozwoju. I stale dbać o to, być dwa, trzy kroki przed nim. Jak skończył liceum, zaproponowałam ojcu, że może poszukalibyśmy dla niego innego nauczyciela. Nie chciał.

Pani spotkała się z prof. Andrzejem Jasińskim?

Bo ja, no cóż, chciałam prawdopodobnie podzielić się z kimś odpowiedzialnością. Przecież gdyby Rafał nie olśnił wszystkich swoim talentem, winy doszukiwałabym się w sobie. Co źle zrobiłam, czego nie dopilnowałam, z czym przesadziłam? Tym brzemieniem chciałam obciążyć więc i Jasińskiego. Nawet przez moment zastanawiałam się potem, dlaczego mnie opuszcza, a prof. Jasiński, oczywiście, wiedział, co robi. Jak zwykle. Nie byłoby dobre dla Rafała, gdyby kilka osób maczało palce w tej zupie. Gdyby w jego głowie powstał koktajl przeróżnych opcji interpretacyjnych. Więc – rada nierada – prowadziłam go, jak umiałam, i przez to wyszedł niepowtarzalny.

**Z prof. Katarzyną Popową-Zydroń rozmawiała Teresa
Torańska dla www.gazeta.pl (całość w NT 39)**



Obchody 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina



50. Notatnik Technika

Lektura Notatnika przywołuje pamięć o jego początkach. Przez wiele lat STP nie wydawało swojego komunikatu, korzystając ze wsparcia Zjednoczenia. W końcu lat 80. z napływem nowych członków udało się to wreszcie zmienić. Stało się to dzięki energii Jurka Potockiego, który pomimo nawału pracy zawodowej znalazł czas aby ten periodyk redagować. Prof. Agata Krzychylkiewicz również dzielnie nas wspomagała po wyjeździe Jurka za granicę.

Pierwszy numer ukazał się w styczniu 1990 roku. Z zastrzeżeniem, że będzie wychodził, *kiedy będzie ku temu potrzeba*. Praktycznie ten stan rzeczy trwa po dziś dzień. W tym pierwszym numerze opisano wizyty Jana Pietrzaka oraz Marii Fołtyn, za której sprawą wspomagaliśmy inicjatywy moniuszkowskie. W 1992 z dochodu Balu Technika ufundowaliśmy nawet główną nagrodę pierwszego międzynarodowego konkursu im. Stanisława Moniuszki. Za tymi pierwszymi wizytami, które organizowaliśmy dla Polonii wkrótce posypały się następne. Numery 2. 3. i 4. Notatnika zapraszają na zorganizowane przez nas występy Wojciecha Młynarskiego (21 kwietnia), Danuty Rinn (3 sierpnia) oraz Andrzeja Łapickiego i Anny Seniuk (27 października), wszystko to w 1990 roku. W tymże roku odeszła Maire Jaroszyńska, żona Karola Benedykta wsławionego w walkach Brygady Podhalańskiej we Włoszech. Maire była jednym z filarów starszej Polonii. Pomimo fińskiego pochodzenia brała udział we wszystkich patriotycznych akcjach przybranej ojczyzny, szczególnie Polish Relief Fund.

Specjalne wydanie z listopada 1990 zachęca do udziału w pierwszych krajowych wyborach prezydenta w Polsce. Został nim Lech Wałęsa. Numer 6. wiele miejsca poświęca historii Polonii w RPA pióra Arkadiusza Żukowskiego z Olsztyna. W numerze 7. rozpoczęliśmy druk wspomnień wojennych Zygmunta Fudakowskiego – byłego adiutanta gen. Sikorskiego. Ogłoszone jest tu również symposium, które odbyło się na cześć prof. Michała Zakrzewskiego – projektanta portu morskiego w Durbanie.

Karol Ranoszek, znany as lotnictwa zamieszkały w RPA odszedł 18 lipca 1992 roku. Numer 11. poświęca mu miejsce na krótkie epitafium. Kabaret *Wy-3-mamy* w składzie Jan Kaczmarek, Krzysztof Jaroszyński oraz Stefan Friedmann odwiedził RPA na zaproszenie STP w październiku 1992. Jan Kaczmarek napisał do Notatnika bardzo miły list z podziękowaniami za gościnę.

Antoni Urban został redaktorem Notatnika w lipcu 1993 roku, zarazem wprowadzając nową szatę graficzną. W tym to właśnie 14. numerze rozpoczęliśmy również druk wspomnień Włodzimierza Strzałkowskiego, który opisał swoje przygody wojenne, łącznie z ucieczką z obozu sowieckiego pod Kozielskiem. Jest to gotowy scenariusz filmu sensacyjnego, którego niestety nikt jeszcze nie zrealizował, pomimo optymistycznego zakończenia.

Numer 17. z października 1994 poświęcony jest mojej podróży do Polski, gdzie miałem zaszczyt towarzyszyć lotnikom SAAF w obchodach 40. rocznicy lotów nad Warszawę. W roku 1995 odeszło dwóch znanych kombatanów – Broniek Kowalski kapitan AK z Michalina oraz Józek Piskorek żołnierz I Dywizji Pancерnej gen. Maczka. Ich epitafia zamieściliśmy w numerze 19. Notatnika. Rok 1996 przyniósł wizytę polskiego ministra Budownictwa p. Barbary Blida. Udekorowała ona działaczy polonijnych w tym: pośmiertnie Bolesława Brazgalskiego, chorąż Jadwigę van de Put (odznaczenie odebrał syn Piotr Jelonek) oraz moją skromną osobę.

Laudacja wygłoszona przez Franciszka Ranoszka zamieszczona jest w numerze 21. W numerze tym zamieściliśmy wspomnienie o Włodzimierzu Strzałkowskim, który odszedł w Polsce 13 stycznia 1996. Epitafium dla zmarłej 11 sierpnia 1996 roku baronowej Jagi van de Put zamieściliśmy w numerze 22. Akcja pomocy powodzianom z 1997 roku w Polsce znalazła oddźwięk w sierpniowym numerze 24. STP przeznaczyło wtedy połowę swojego majątku na pomoc powodzianom.

W następnym numerze wystosowaliśmy apel o wsparcie inicjatywy budowy ośrodka socjalnego przy kościele *Regina Mundi* w Soweto. Niestety apel ten nie powiódł się. Udało się natomiast wykonać w tym kościele witraż ufundowany przez Prezydentową Kwaśniewską. Jest to jeden z czterech zaprojektowanych. Ciągłe liczymy na ufundowanie pozostałych trzech.

Bal Milenijny zorganizowany wspólnie z *Polish Business Club*, ogłoszony w Notatniku odbył się 3 maja 2000 osiągnął doskonałą frekwencję. Książę Infulat dr Jan Jaworski obchodził swoje 80. urodziny w czerwcu 2000 roku. Notatnik 28. zamieszcza obszerny tekst mojego przemówienia z tej okazji, epitafium na cześć zmarłego wtedy Zygmunta Fudakowskiego jak również krótką historię STP. W tymże roku zawitał również znany aktor

Marian Opania z recitalem piosenki i monologów. Akompaniowała Aldona Krasucka. Numer 29. zamieszcza ogłoszenie tego występu.

Numer 30. zawiera opis podróży do Warszawy na koncert artystów teatru Ateneum oraz innych, którzy byli w RPA. Odbyliśmy ją wspólnie a Pastorem Jonesem oraz płk. Dirkiem Nelem. Koncert ten odbył się aby zdobyć fundusze na odnowienie Pomnika SAAF w Michalinie. Numer ten poświęcony jest również wspomnieniom o prof. Zakrzewskim (1903 – 2000), napisanych przez jego współpracownika Miłka Masojadę. Dzięki staraniom ks. Infulata zorganizowaliśmy spektakl sztuki Jana Machulskiego z zespołem. Odbył się on w kwietniu 2002 roku w sali *Michael Mount Waldorf School*. Wspomnienie o Jacku Kołtataju, odszedł po krótkiej chorobie 30 marca 2003, utalentowanym elektroniku oraz sympatyku Stowarzyszenia zamieściliśmy w numerze 34.

60. rocznica Lotów nad Warszawę przypadła na rok 2004. Dla jej upamiętnienia postanowiliśmy urządzić obchody szczególnie uroczyste. Gośćmi z Polski byli płk. Zbigniew Ścibor-Rylski – prezes Związku Powstańców Warszawskich, mjr Edmund Baranowski – jego zastępca oraz gen. Jerzy Kurczewski w imieniu Prezydenta RP. Rogatywka polskiego generała, widziana po raz pierwszy w RPA, budziła wszędzie zrozumiałą sensację. Echa obchodów długo rozbrzmiewały w społeczności Johannesburga. Konsul Marian Bark, który wiele wsparcia udzielał naszym inicjatywom, udał się tego roku na emeryturę do kraju. Na pożegnalnej kolacji udekorował zasłużonych członków i sympatyków STP w składzie: Agata Krzychylkiewicz, Piotr Jelonek, Andrzej Marek oraz Krystyna Romanowicz. Opis wieczoru w Notatniku.

W wyniku dogłębnych studiów nad pozostawionymi dla Fundacji Dziedzictwa Polskiego protokołami zebrań naszych poprzedników w grudniowym numerze Notatnika 37. opublikowaliśmy obszerną historię naszego Stowarzyszenia, która ciągle pozostaje aktualna. Dzięki pracy Antoniego Urbana wydaliśmy również promowaną w tym numerze angielskojęzyczną *Historię Obchodów Lotów nad Warszawę – Johannesburg 1945-2004*. Jest to jedyny periodyk podsumowujący wieloletnią pracę Polonii RPA dla okazania wdzięczności za ofiarę krwi przelanej przez lotników SAAF we wsparciu Powstania Warszawskiego.

Numer 38. w kwietniu 2005 podsumowuje posługę Jana Pawła II.

Zafascynowani ofiarowanymi przez państwo Marków wspomnieniami Franciszka Sochy-Paprockiego (pierwszego prezesa Polonii RPA – 1948) postanowiliśmy je wydać pod tytułem *Żywot*

człowieka – w Polsce XX wieku – poczciwego.

Niestety wydrukowano tylko 80 egzemplarzy, które głównie ofiarowaliśmy uniwersytetom w Polsce. Fragment książki w numerze 39. Promocja tej książki opisana numerze 40. przez Ewę Dunin odbyła się w Muzeum Wojska w Warszawie w styczniu 2006 roku. Tamże zamieszczono fragmenty książki Józefa Musioła o braciach Ranoszkach oraz wspomnienia o Danusi Strzałkowskiej, która odeszła w Polsce 11 kwietnia 2006, 10 lat po śmierci męża. Numer 41. poświęcony jest karierze Andrzeja Miszewskiego, odznaczonego *Virtuti Militari* za służbę w lotnictwie, który wraz z żoną Hanką stworzył wielki zakład produkcji wyrobów dziewiarskich w Kapsztadzie. Zmarł tam 31 października 2005.

W 2006 odbyliśmy wraz z lotnikami SAAF pastorem Jonesem oraz byłym dowódcą dywizjonu 31 nostalgiczną podróż do Polski na obchody rocznicy Powstania. Zdjęcia z tej wyprawy opublikowano w numerze 42. Rok 2008 to jubileusz 60-lecia Stowarzyszenia Techników Polskich w RPA. Poza tradycyjnym balem corocznie ogłaszanym w Notatniku zorganizowaliśmy wieczór wspomnień, na który przybyło ponad 60 osób w tym przedstawiciele Ambasady RP oraz duchowieństwa. W numerze 43. Małgorzata Dziewięcka zamieściła artykuł *AIDS w Botswanie*. Janek Kunicki, który powrócił do Kraju przesłał nowości z kraju opublikowane w numerze 44. pod tytułem *U nas w Polsce*. W związku z odejściem Janka Kaczmarka reszta numeru poświęcona jest jego twórczości i wspomnieniom z RPA.

Numer 45. posiada poza opisem wizyty harcerzy z Michalina bardzo ciekawy życiorys lotniczy Włodka Pyzikowskiego oraz opis polskich koneksji w RPA datujących się od XVII wieku. Życiorys Włodka, tym razem opis kariery zawodowej, jest kontynuowany w następnych dwu numerach. Smutnym elementem tego numeru jest wspomnienie o ks. Infulacie dr. Janie Jaworskim, który opuścił nas 8 października 2008. Włodek Pyzikowski podążył jego śladem odchodząc 12 stycznia 2010.

Numer 47. zaprasza na wystawę *Katyń – Pamiętam*, która odbyła się w Muzeum Historii Wojska RPA. Numery 48. i 49. wydane zostały głównie dla ogłoszenia obchodów Lotów oraz życzeń świątecznych.

Notatnik Technika spina okres ponad 20-letniej działalności Stowarzyszenia i nadal świetnie służy do zapisywania ważnych wiadomości i wydarzeń. Serdeczne gratulacje przekazuję na ręce jego redaktora – Antka Urbana, który wiele godzin pracy poświęcił dla podniesienia serc naszej braci pod Krzyżem Południa.

Andrzej Romanowicz

Od redaktora Notatnika: *Dziękuję*

Tshepo

Tshepo przybył do Johannesburga z egzotycznego kraju o imieniu Polska. Angielska nazwa tego państwa, *Poland*, brzmiała dla przeciętnego rozmówcy jak *Holland*. Niektórzy próbowali zgadywać przysłuchując się obcemu akcentowi, ale zwykle wtedy wymieniali albo Francję albo Włochy. Dopiero stwierdzenie, że Polska była częścią bloku państw komunistycznych w Europie Wschodniej, wyzwalała spontaniczną reakcję: "Solidarity! Łaleska!" To drugie słowo jest angielską wymową nazwiska Wałęsa.

Było to jeszcze za czasów *apartheidu*, to znaczy segregacji rasowej. Jednym z przejawów tego dziwnego zjawiska był podział: piłka nożna dla Czarnych, a rugby dla Białych. Pechowo, rugby nie cieszy się w ojczyźnie **Tshepo** zbyt dużym powodzeniem i przepisy gry w tę dyscyplinę sportu nie są tam powszechnie znane. Miał więc kłopot od samego początku pobytu w RPA. Próbował oglądać w telewizji mecze rugby, ale nie mógł zrozumieć dlaczego sędzia czasem daje rzut karny, innym razem każe zrobić coś podobnego do koła młyńskiego, przy czym nie wiadomo, kto podawać będzie piłkę, albo jeden z zawodników wrzuca piłkę zza linii autowej, a inni podskakują bardzo wysoko podrzucani przez kolegów. Już o wiele łatwiej było mu zrozumieć przepisy gry w krykieta.

Po paru miesiącach bezowocnej nauki przepisów rugby, poddał się i postanowił zacząć poszukiwania stadionów piłki nożnej.

"W piłkę nożną grają w Londynie, tutaj jest lokalna piłka."
"Chyba nie chcesz stracić życia."

"Zwariowałaś, tam Biali nie mają prawa wstępu."

"Nie wystarczą ci transmisje z meczów Ligi Mistrzów?"

Takie komentarze dało się słyszeć. Strachy na Lachy – już SB za nim chodziło, śmierć groziła mu każdego dnia stanu wojennego, postanowił pójść choć na jeden mecz "lokalnej" piłki nożnej. Nadarzyła się wspaniała okazja – do RPA przyjechały dwa zespoły angielskie, *Liverpool* i *Aston Villa*, i miały rozegrać towarzyskie mecze z dwiema najlepszymi drużynami południowoafrykańskimi. Jakież było zdziwienie **Tshepo**, kiedy okazało się, że wszystkie mecze były niezwykle wyrównane, a jeden z zawodników drużyny *Kaizer Chiefs* o nazwisku Doctor Khumalo, mógł być śmiało zaliczony do najbardziej utalentowanych piłkarzy na świecie. I właśnie gra tego piłkarza zadecydowała o wyborze *Kaizer Chiefs*, jako klubu do kibicowania.

Stadion wybranej drużyny nawiązał nazwę *Rand* i znajdował się na południowym krańcu Johannesburga. Pierwsza wyprawa na mecz była przeżyciem, z duszą na ramieniu podjechał samochodem biały kierowca, na parking, gdzie tak jakby umieszczony był napis: *Blacks only*. Ale od razu zdziwienie, kilku porządkowych wyraziło gotowość pilnowania samochodu jak oka w głowie, oczywiście spodziewając się wysokiej zapłaty. Tak więc problem bezpieczeństwa samochodu rozwiązał się raz na zawsze.

Kosztowało to więcej niż bilet wstępu na stadion, bo po pierwsze, bilety były śmiesznie tanie, a po drugie jednego samochodu pilnowało kilku chętnych – ale samochód był na parkingu przed stadionem bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej w Johannesburgu.

Okazało się też, że dla samotnego Białego nie ma bezpieczniejszego miejsca w RPA niż trybuna stadionu, oczywiście pod warunkiem przebywania wśród kibiców tej samej drużyny. Kibice gospodarzy zajmują stronę łóż honorowej, natomiast goście siadają po stronie przeciwnej. Tej zasady należy skrupulatnie przestrzegać, żeby uniknąć zbędnych konfliktów. Wyjątek stanowiły derby dwóch najpotężniejszych klubów Soweto, a mianowicie *Kaizer Chiefs* i *Orlando Pirates*. Na tym meczu nikt nie był bezpieczny, a po meczu dochodziło do regularnych bójek. Czasem mecz musiał być przerwany. Derbów należało unikać i oglądać transmisję w telewizji.

Po kilku meczach **Tshepo** zaprzyjaźnił się z grupą stałych bywalców stadionów i traktowany był specjalnie, z prostego względu, że na meczach nie było białych widzów. Piłkarze – tak, w każdej drużynie było ich kilku, a bramkarz z reguły był pochodzenia europejskiego. Była też jedna drużyna uniwersytecka, której garstka kibiców wywodziła się spośród różnokolorowych studentów. Wkrótce chodzenie na mecze piłkarskie stało się dla **Tshepo** najważniejszym wydarzeniem tygodnia, zaczął też jeździć na inne, niezbyt odległe stadiony innych drużyn, ale zawsze na mecze *Kaizer Chiefs*, występujących w charakterze gości.

Z wyjazdami na obce stadiony wiązały się dwa ciekawe wydarzenia. Pierwsze z nich miało miejsce w Witbanku. Jest to takie większe miasteczko typowo afrykańskie (Afrykaner, tzn. Biały pochodzenia holenderskiego), górnicze (wydobywa się tam węgiel kamienny), wyglądające na spokojne i dobrze zorganizowane. Była niedziela, około południa, plac w samym centrum miasta nieco opustoszały, ale w okolicach restauracji i bankomatów kręciło się trochę ludzi różnego pochodzenia. Właśnie tam **Tshepo** poszedł do bankomatu i chciał wyciągnąć gotówkę. Niestety coś uniemożliwiło włożenie karty do czytnika. Nagle, jakby spod ziemi ukazał się Murzyn i ze stwierdzeniem "pomogę ci", ale bez czekania na odpowiedź wepchnął kartę do czytnika i grzecznie oznajmił, że można kontynuować operację. Ale **Tshepo** nie jest naiwny i od razu zorientował się, że coś jest nie tak.

"Oddaj mi moją kartę!"

"Jest tam w czytniku."

Odruchowo **Tshepo** pchnął "grzecznego" Murzyna, który tracąc równowagę pokazał rękę, a w ręce ukradzioną kartę. Zorientował się, że się wydało, rzucił kartę na chodnik i uciekł. Całe zdarzenie nie trwało więcej niż pół minuty, odbywało się na oczach przechodniów, ale nikt nie interweniował. Dopiero potem podeszli jacyś ludzie i zeczeli zadawać pytania w stylu "co się stało".

Do drugiego zdarzenia doszło na północ od Pretorii, na stadionie o nazwie *Odi*, gdzie odbył się pasjonujący

mecz przeciwko drużynie *Sundowns*, wygrany 3:2.

Tshepo przyjechał na mecz trochę za wcześnie, trudno było stwierdzić, która strona stadionu jest przeznaczona dla kibiców gości, poszedł więc w stronę grupy kilku siedzących osób. Wywiązała się ciekawa rozmowa, oczywiście na tematy piłkarskie, ale dotyczące reprezentacji kraju. Z przebiegu rozmowy nie od razu wynikało, że byli to kibice gospodarzy, ale nawet wtedy, kiedy wszystko się wyjaśniło, dyskusja była tak ciekawa, że trudno było ją przerwać. Dopiero przed samym początkiem meczu, jeden z rozmówców stwierdził:

“Miło się nam rozmawia, ale lepiej będzie, jak pójdziesz na drugą stronę stadionu.”

Tak też się stało, na szczęście zresztą, bo kibice *Sundowns*, niezadowoleni z wyniku zaczęli po meczu demolować plastikowe krzesła na widowni. Wydawać się mogło, że sytuacja była niebezpieczna, ale **Tshepo** przestraszył się nie na żarty czegoś innego. Otóż tysiące kibiców jego drużyny zaczęły świętować zwycięstwo. Murzyni w takim momencie śpiewają grupowo rytmiczne melodie, jak np. *Shosholozza*, i podskakują do rytmu. Radość była tak wielka, śpiew był tak głośny, a taniec tak rytmiczny, że nagle betonowa konstrukcja stadionu wpadła w rezonans. Zaistniała groźba zawalenia się całego stadionu.

Jeżeli chodzi o mecze na stadionie *Rand*, to nie dochodziło tam do żadnych incydentów. No może raz, kiedy sędzia popełnił kardynalny błąd, publiczność chciała mu pokazać swoje niezadowolenie, kilku agresywnych kibiców wybiegło na boisko i zaatakowało nieodpowiedzialnego arbitra. Groziło poważną bójką, ale koło sędziego zjawili się policjanci, wyciągnęli pistolet i oddał jeden strzał w powietrze. Chuligani uciekli tak szybko, jak się tam zjawili. W środkach masowego przekazu rozpętała się burzliwa dyskusja na temat incydentów na meczach piłki nożnej. Ale nikt nie wymienił głównej przyczyny problemów. Na meczach można było bez problemu kupić narkotyki pn. *dagga*, należący do tej samej rodziny co *hashish* i *marijuana*. Sprzedający chodzili pomiędzy widzami i za parę randów sprzedawali torebki z wysuszoną trawką. Kupujący natychmiast mieszały narkotyk z tytoniem, robili skręty i palili. Narkotyk ten dodawał palącym odwagi i agresywności, a bierne palenie *daggy* zachęcało do przychodzenia na mecze.

Były to tylko nieliczne incydenty, generalnie nie było bezpieczniejszego miejsca na świecie niż widownia stadionu w sobotę lub w niedzielę o godzinie 15. Ale kiedy **Tshepo** zrobił coś, co groziło katastrofą. Dostrzegł szowinizm publiczności RPA i chciał coś zrobić, żeby pokazać swoje zdziwienie. Śmiertelny wróg, czyli *Orlando Pirates*, walczył w ćwierćfinale afrykańskich rozgrywek klubowych o tytuł mistrza kontynentu. Mecz odbywał się na największym stadionie Johannesburga pn. FNB, niedaleko Soweto. **Tshepo** włożył swój złoto-czarny strój *Kaizer Chiefs* i poszedł na stadion, gdzie były tylko kolory monochromatyczne – Piraci ubierali się albo na biało, albo na czarno. Widownia zamarła z przerażenia gdy zobaczyła intruza, ale **Tshepo** zaraz na wstępie powiedział:

“Widzicie kim jestem, ale dziś przychodzę kibicować drużynie reprezentującej RPA.”

Rozładowało to napiętą atmosferę, współtowarzysze na widowni otoczyli **Tshepo** opieką, prześcigali się w gościnności, traktowali jak swojego *Amakhozi* (król). Zdarzeniem zainteresowali się kamerzyści i pokazywali ten fragment widowni z bliska i z daleka. Na drugi dzień, minister sportu oraz właściciele największych klubów w RPA zaapelowali do szerokiej rzeszy kibiców o poparcie drużyny, która właśnie awansowała do półfinałów rozgrywek międzynarodowych.

Pewnego słonecznego niedzielnego popołudnia, na stadionie *Rand* doszło do czegoś nieoczekiwane.

Tshepo siedział w towarzystwie swoich dobrych kumpli, dyskutował zawzięcie czekając na rozpoczęcie meczu z drużyną z Bloemfontein. Parę rzędów niżej było szersze przejście pomiędzy sektorami i tamtędy kulawy kibic *Orlando Pirates* przechodził, zaczepiany przez siedzących. Był to jedyny Pirat, który ze względu na swoje kalectwo oraz wysokie miejsce na murzyńskiej drabinie hierarchicznej – mógł bezkarnie odwiedzać stadion *Kaizer Chiefs*.

Tshepo rzucił do przechodzącego pytanie:

“Jak tam było z tymi karnymi?”

(Piraci odpadli z rozgrywek pucharowych tydzień wcześniej, przegrywając z drużyną *Qua-Qua Stars* karnymi, kiedy nawet dogrywka nie przyniosła rozstrzygnięcia.) Kulawy Pirat zareagował natychmiast, skierował kulę w stronę **Tshepo** i groźnie odparował:

“Czy ty wiesz, że za to co powiedziałeś, mógłbym cię zabić?”

“Przyjdź tu i zabij mnie.”

“Spróbuj dotknąć naszego przyjaciela” – do rozmowy przyłączyli się kumple siedzący po obu stronach. Pirat uśmiechnął się. W dalszym ciągu trzymał kulę skierowaną na rozmówcę i niedbale rzucił:

“Wstań!”

Tshepo wykonał bezzwłocznie polecenie.

“Niniejszym nadaję ci imię **Tshepo**, co oznacza w języku Xhoza *Trustworthy* (godny zaufania), twoje imię w języku Zulu brzmi **Themba**. Możesz używać obu imion.”

“Dziękuję” – wykrztusił nowoochrzczony, zaskoczony przebiegiem zdarzeń, nie do końca wierząc, że to nie sen. “Możesz teraz usiąść. A wracając do tych karnych, to faktycznie zawalili, powinni mecz wygrać wcześniej.”

Kumple w jednym momencie przestawili się na nowe afrykańskie imię. Widać ucieszyli się, że nareszcie mówią do swojego.

Antoni Urban



FRANCISZEK ANTONI RANOSZEK

20 maja 1920 – 20 września 2009

Kiedy w lipcu tego roku spotkaliśmy się z Frankiem przed Jego odlotem do Europy oraz na Światowy Zjazd Polskich Kombatantów w Warszawie nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to będzie nasze ostatnie spotkanie. Tradycyjnie przy szklaneczce whisky lub ulubionej trojanki litewskiej w Jego domeczku w wiosce St. Georges wspominaliśmy stare i nowe czasy i przyjaciół. Jak zwykle nalegaliśmy, aby dla potomności nagrał swoje wspomnienia. Potem pojechaliśmy na rybkę do Fishmongera. Tym razem zamiast fileta zamówił Kingklip, którą z apetytem skończył, co było raczej dziwne, bo zwykle niewiele jadał. Uznaliśmy to za wyraz powrotu do zdrowia po przebytej operacji rozszerzania naczyń krwionośnych. Bardzo się cieszył na ten wyjazd, jak również na planowane wyprawy z wieloletnim przyjacielem sędzią Józefem Musiołem. Polskę ostatnio Franek odwiedzał dwa razy w roku. Urozmaicały te wizyty samotność po śmierci żony Marysi, z domu Skowrońskiej. Zmarł niespodziewanie dnia 20 września w ukochanej Warszawie, do której jako młodzieniec przybył w 1939 r., aby zdawać egzamin wstępny na Politechnice Warszawskiej.

Franciszek Antoni Ranoszek, najmłodszy z czterech synów nauczyciela Franciszka Ranoszka i Marii Ranoszków urodził się 20 maja 1920 roku w Wierzbiu – obecnie Jastrzębie Zdrój. Dwóch z Jego braci obrało karierę lotniczą. Karol, najstarszy, wojnę ukończył w stopniu Dowódcy Skrzydła RAF-u, zmarł 18 lipca 1992 roku w Johannesburgu. Dowodził między innymi 307 Dywizjonem Nocnych Myśliwców - Lwowskich Puchaczy. Ginter, absolwent słynnej Szkoły Orłąt w Dęblinie, podporucznik – pilot, po 17 września 1939 r. został zestrzelony przez bolszewików, ranny i osadzony w obozie w Starobielsku, a następnie w 1940 roku zamordowany przez nich w Katyniu. Joachim, drugi z nieżyjących dziś braci, absolwant farmacji UJ po wojennej tułaczce przybył również do RPA. Franek po zdaniu matury w 1938 roku pragnął zostać inżynierem. Odbył zatem praktykę wakacyjną w cegielni wuja Besucha, wymaganą przed przystąpieniem do studiów inżynierskich na Politechnice Gdańskiej. Niestety konflikt między niemieckimi i polskimi studentami praktycznie uniemożliwił funkcjonowanie uczelni. Udał się zatem na egzamin wstępny do Warszawy. Wybuch wojny światowej udaremnił plany studiów.

Biegła znajomość języka niemieckiego pomogła mu wyjść z rąk gestapowców, którzy 27 września zajmowali kwatery na ulicy Szucha, późniejszym miejscu kaźni wielu patriotów polskich. Po klęsce wrześniowej przedarł się na Węgry, a potem do Rumunii, gdzie pod fałszywymi pretensjami został zaakceptowany w miejscu internowania polskiego rządu w Baile Herkulane. Po 6 tygodniach, jak określa, luksusowej, lecz nudnej egzystencji, podjął skuteczną próbę dotarcia do Cap de Coetguidon we Francji, potem walczył w kampa-

nii francuskiej. Po wielu przygodach, w tym upadku Dunkierki, opuszczeniu przez oficerów - „Każdy na własną rękę!”, w Zatoce Biskajskiej zostali zatrzymani przez brytyjski niszczyciel, który zabrał ich do Liverpool. Churchill & Co przyjmował polskie oddziały z otwartymi ramionami określając je jako „The Gallant Allies”. Franek uszczypliwie dodawał: „prawdopodobnie dlatego, że nasza broń zdobyczna i przywieziona z Francji była nowocześniejsza od brytyjskiej”. Dalsza droga prowadziła przez Crawford do Newport w Szkocji, gdzie służył w oddziałach łączności. Potem wysłano Go do podchorążówki, którą ukończył w stopniu oficera łączności ze specjalnością obsługi radarów, wówczas największej tajemnicy brytyjskiej. Jako młody oficer obsługiwał radary rozmieszczone w 20 punktach Londynu, w tym wokół siedziby rodziny królewskiej w Windsorze. Często widywał tam młodą wówczas księżnę, obecnie królową Elżbietę.

Po zakończeniu wojny rozpoczął studia na Woolwich Polytechnic. Na czele z najstarszym bratem, pilotem Karolem, na znak protestu przeciwko sprzedaniu Polski, i pozbawieniu polskich żołnierzy udziału w defiladzie zwycięstwa w Londynie, odmówili przyjęcia obywatelstwa brytyjskiego i wszyscy bracia opuścili Wielką Brytanię obierając sobie za miejsce swego zamieszkania południową Afrykę. Franek, który tu przybył w 1949 roku początkowo przeżywał niełatwe chwile w miejscu, jakim był dla niego Johannesburg. Poznał tu swoją przyszłą żonę Marię Skowrońską, córkę zastępcy dyrektora Gabinetu Prezydenta RP – Mościckiego.

Pracowitość i uzdolnienie, jakie cechowało wszystkich Ranoszków pozwoliło mu osiągnąć zupełnie dobry status ekonomiczny i społeczny. Upierwszą pracę otrzymał w firmie PROTEA HOLDINGS jako operator rentgena. Następnie pracował w firmie PLASTEX założonej przez brata – Karola a po sprzedaniu PLASTEX-u założył wraz z Fransem Nussbaumerem i Ryszardem Sosnowskim firmę VERSATEX. W latach 70. firma ta została sprzedana firmie FUCHS dla uzupełnienia produkcji urządzeń elektrycznych. Razem ze swoim starszym bratem Karolem, wspomagali Uniwersytet Warszawski zakupując niezwykle cenne dzieła. Na tym Uniwersytecie ich stryj prof. dr hab. Rudolf Ranoszek był kierownikiem Katedry i twórcą filologii Wschodu Starożytnego. Franciszek Ranoszek od lat sześćdziesiątych przyjeżdżał do Polski, gdzie w Warszawie dwoje jego dzieci (Dorotę i Marka) bierzmował Prymas Polski Kardynał Wyszyński. Odwiedzał swoje i braci miejsca urodzenia oraz szkołę podstawową w Wierzbiu, której kierownikiem był ich ojciec, a od roku 1924 inspektor szkolny w Tarnowskich Górach.

Franek był wielbicielem Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny. Często odwiedzał siedzibę tego Zespołu. Gościł również w Jastrzębiu i Moszczenicy, skąd wywodzi się ród Ranoszków, odwiedzał też Żory, w których w 1938 r. ukończył Gimnazjum Klasyczne. Z okazji Jej podróży do RPA poznał Barbarę Blidę, również rodem ze Śląska, ówczesną

minister budownictwa w Polsce. Pozostali w przyjaźni aż do Jej tragicznej śmierci. Do końca życia znakomicie operował łaciną i greką. Interesował się wszystkim co działo się w Polsce. Był człowiekiem realnie myślącym o polskiej rzeczywistości. Wielki patriota, człowiek niezwykle uczciwości i rzetelności. Nigdy nie obnosił się z wojennymi wyczynami, uważał, że to co robił było jego powinnością. Pomimo iż nie przywiązywał wagi do odznaczeń i wyróżnień za sprawą kolegów udekorowany został przez Prezydenta RP Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta. Poza tym posiadał następujące odznaczenia: Krzyż Walecznych, Medal Wojska Polskiego, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Sił Zbrojnych na Zachodzie, 1939-1945 Star, Defence Medal, War Medal 1939-1945, Croix du Combattant oraz Commemorative Medal 1939-1945.

Pamiętam wciąż pierwszą wizytę w domu Marysi i Franka, w latach 70. Był to dom otwarty, gdzie poznać można było śmietankę ówczesnej Polonii w której prym wiedli tacy wspaniali ludzie jak rotmistrz Fudakowski, pułkownik Strzałkowski, hrabia Potocki i wielu podobnych eleganckich ludzi patriotycznie wychowanych w II Rzeczpospolitej. Państwo Ranoszkowie wspierali bardzo działalność polskiego kościoła, będąc również w wielkiej przyjaźni z niezapomnianym ks. prałatem Jaworskim. Na początku roku 2006 Franek brał udział w warszawskiej promocji wydanych przez Fundację Dziedzictwa Polskiego wspomnień pierwszego Prezesa Polonii południowoafrykańskiej Franciszka Sochy-Paprockiego, którego doskonale znał z czasów powojennych.

Brakować nam będzie spotkań z Frankiem, zostanie jednak w pamięci Jego elegancka sylwetka oraz nienaganne maniery. Do końca życia prowadził samochód, częściowo z konieczności, ale głównie dla przyjemności. Wiąże się z tym parę ciekawych opowieści przyjaciół ze wspólnych podróży po Afryce, kiedy to pasażerowie próbowali w ostatniej chwili ingerować przy kierownicy. Opatrzność boska jednak go nie opuściła do końca i wszystkie one zakończyły się pomyślnym dotarciem do celu.

W tym roku SPK - Afryka Południe wydelegowało Franka na Światowy Zjazd Kombatantów z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Jest coś znamiennego, że na Zjazd ten przybył do Stolicy, której bronił siedemdziesiąt lat temu. Zgodnie z decyzją jego dzieci ma spocząć w Warszawie, na Powązkach, w kwaterze jego brata płk inż. pilota Karola Ranoszka. Los tak niefortunnie zrządził, iż nie doczekał, ten z długowiecznej rodziny Ranoszków, swoich dziewięćdziesiątych urodzin, które planował w Polsce w czasie zjazdu rodzinnego.

Cześć Jego pamięci.

Andrzej Romanowicz

Na podstawie wspomnień Franciszka Ranoszka oraz epitafium i książki sędziego Józefa Musioła

Mój dom? Tam, w Afryce?

Wiesz, tutaj, gdy patrzę na twoje miasto, to widzę dom zupełnie inaczej niż tam. Koncept domu jest inny. Tu budowany jest od wewnątrz. Od wewnątrz ducha. Dla bezpieczeństwa. Stoję niejako pośrodku i otaczam się ścianami, izoluję od ludzi, by móc zasnąć, ukryć się, rozluźnić duszę. Jak niegdyś w jaskini czuć się bezpiecznie.

Tam dom powstaje jako część przyrody i w sposób zapożyczony od zwierząt i roślin: zagradzam sobie część przestrzeni, łapię ją "w siatkę" mych ścian, jak rybę. Zaznaczam tym moje terytorium, tak jak hipopotam odchodami, osa glinę zmieszaną ze śliną, drzewo cieniem konarów, ja – cegłą, trzcinią, trawą. Mój dom jest więc częścią ogrodu, a ogród jest oddzielony częścią lasu nadrzecznego. Jako człowiek muszę być twórczą istotą, zatem w moim ogrodzie posadziłam kilka krzewów obcych, parę drzewek pomarańczy. Roślinność ogrodu, ta miejscowa, jest oporna w zaakceptowaniu nowości, w uznaniu nowej harmonii. Tak, jak ludność miejscowa. Obsypuje moje innowacje muszkami, pajęczkami, mrówkami, cieniem. Ale nowe są uparte. Gdy jedno zginie, drugie się pojawia i próbuje dalej życia tam, w ogrodzie. Tak, jak nowi przybysze. Razem ogród wygląda ciekawie, ładnie i pożytecznie. Daje mi spokój i przywiązanie. Rodzą się uczucia. Wygłaskałam powrót do życia drzewka pomarańczy. Gasta, gubiła listki, jak przy leprze odpadały uschnięte końce gałązek. Przychodziłam doń co rana, rozmawiałam, dotykałam. Teraz też zachodzę tam, dotykam listka na znak uznania dla drzewka.

Wierzę w wymianę energii. Wierzę, że dobra energia jest zawsze w nas i do naszej dyspozycji. Wolność nasza polega na używaniu jej lub nie; na wyzwalaniu jej lub utrzymywaniu w uśpieniu. Zła w nas nie ma, jako naturalnej energii drzemiącej wewnątrz. Wszak od Boga pochodzimy. Zło musi Mu być obce jako Jego twórczości. Zło jest na zewnątrz, jest niezależną energią, jak dym snującą się po świecie. Wpływa tam, gdzie robi się jej miejsce. Nigdy nie ma dlań wolnego miejsca tam, gdzie używa się dobrej energii. Ale przecież mówimy o moim domu! Jesteś go wciąż ciekaw? Tak?

Jest wiecznie otwarty. Przecieka jego wnętrze do ogrodu, a ogród do jego wnętrza wpływa. W nocy księżyc i gwiazdy wchodzą, w dzień słońce. Wiatr, deszcz także sobie pomieszkują weń. Ciepło, zimno tak tu, jak i tam tj. wewnątrz i w ogrodzie. Rozśmiesza mnie naturalność z jaką traktują mój dom zwierzęta. Pies wchodzi sobie jak do siebie, zwala swe cielsko w kącie koło schodów, gdy ciepło, zaś na dywanie, kiedy zimno. Nawet okiem nie łypnie w moją stronę, czy nie mam obiekcji. Koty - to samo. Włazą miękko, zwijają się na kanapie czy krześle, zupełnie ignorując moją obecność. Mrówki wchodzą w jednym rogu domu,

maszerują szeroką strugą po ścianach, by wyjść z domu po drugiej stronie, gdzie koło sufitu. Ot, taki bieg przez mój dom. Osy wpadają, lepią gniazda u pułapu. Tysiącnoogi pełzną – na skrót – od jednego progu do drugiego i wychodzą do ogrodu. Pająki lokują się po ścianach i po półkach. Czasem schroni się wąż, żaba czy myszy pomieszkają w nim zimą, chrabąszcze potańczą przy lampie, motyle przysiadą na kolorowej poduszce jak na kwiecie.

Mój dom? Jest w nim dwoje dzieci. "Czarne i czerwone." Murzyneczka i Indianeczka – moje adoptowane córeczki, Mantsia i Wawa. Wchodzą do domu tak naturalnie, jakby był to najwłaściwszy koncept ludzkiego schroniska. Może nawet to nie schronisko dla nich, lecz przynależność do terytorium czyli tożsamość a zatem siła?

Mój dom jest pełen zapachów znanych mi skądinąd i stamtąd. Jest pełen głosów, szumów, dźwięków.

Jest pełen ruchu, zawsze jest w nim oddech. Jest żywy, trzeba z nim walczyć: gdy gorący, uciekam zeń, gdy zimny, bronię się owijając kocami, chowam się w jego wnętrzu, kiedy w ogrodzie gorąco lub leje deszcz.

Tutaj ktoś powiedział mi: "Ty jesteś już inna."

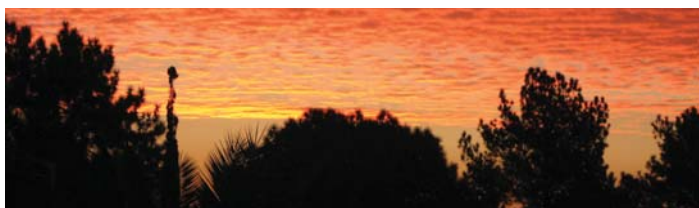
Wracając stąd, rozplakałam się na widok tamtej rzeki, łąki, chat, pustkowia – jako domu mego. Być ma, że dom mój to więcej niż działka na której stoi?

Tutaj wdeptuję w swe dawne odblaski, jak w stare chodaki, i czuję, że jestem niezmienną. Poza czasem istniejąca. Tam w nic nie wskakuję, co byłoby odblaskiem. Tam, gdzie jest mój dom, ja dołączam się. Jestem mile, dobrze widziana – przez całe universum miejsca. Czy mój dom ma imię?

Nigdy nie potrafiłam go nazwać. To, co brzmiało ładnie, przylepione doń gąsto, traciło dźwięk. Więc nie nazwałam mego domu żadnym słowem.

A ja nazwałbym twój dom. Jak? Afryka.

Małgorzata Dziewięcka



Członkowie Zarządu STP

PO Box 2615 • Northcliff 2115 • Johannesburg • South Africa

	Tel. domowy	Tel. służbowy
• Andrzej Romanowicz	011-788-6577	082-330-6577
• Karol Gołda	honorowy	
• Andrzej Marek	011-615-6330	011-239-5812
• Marek Łyżwa	011-646-9541	083-227-1101
• Jacek Turek	011-678-0589	011-239-5400
• Antoni Urban	redaktor NT	083-250-7837

Zainteresowanych sprawami Stowarzyszenia, rezerwacją biletów na imprezy kulturalne organizowane przez STP, prosimy o kontaktowanie się z członkami Zarządu.

Lekarz pije na zdrowie
Matematyk na potęgę
Grabarz na umór
Ornitolog na sępa
Poborowy na krzywego ryja
Bankowiec na kredyt
Polarnik na zimno
Pediatria po maluchu
Aptekarz po kropelce
Filozof po namyśle
Krawiec po naparstku
Syndyk do upadłego
Fryzjer do lustra
Nurek do dna
Anestezjolog do utraty tchu
Kuba do Jakuba
Jakub do Michała
Perfekcjonista raz a dobrze
Kamerzysta aż mu się film nie urwie
Tenisista setami
Kolarz w kółko
Higienistka tylko czystą
Gastryk żołądkową gorzką
Lunatyk księżycówkę
Bliźniak brudzia
Nocny stróż w ciemno
Ichtolog pod śledzika
Pilot jak leci
Mechanik z gwinta
Hydraulik z grubej rury
Medyk sądowy zalewa się w trupa
Wędkarz zalewa robaka
Woźnica wali końską dawkę
Stolarz wali klina
Żołnierz strzela łufę
Sprzedawca paliw wali w gaz
Stręczyciel (być może) upija się w cztery dupy
Rolnik nawala się jak stodoła.
Pilot Luftwaffe jak Messerschmitt
A TY???

